



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

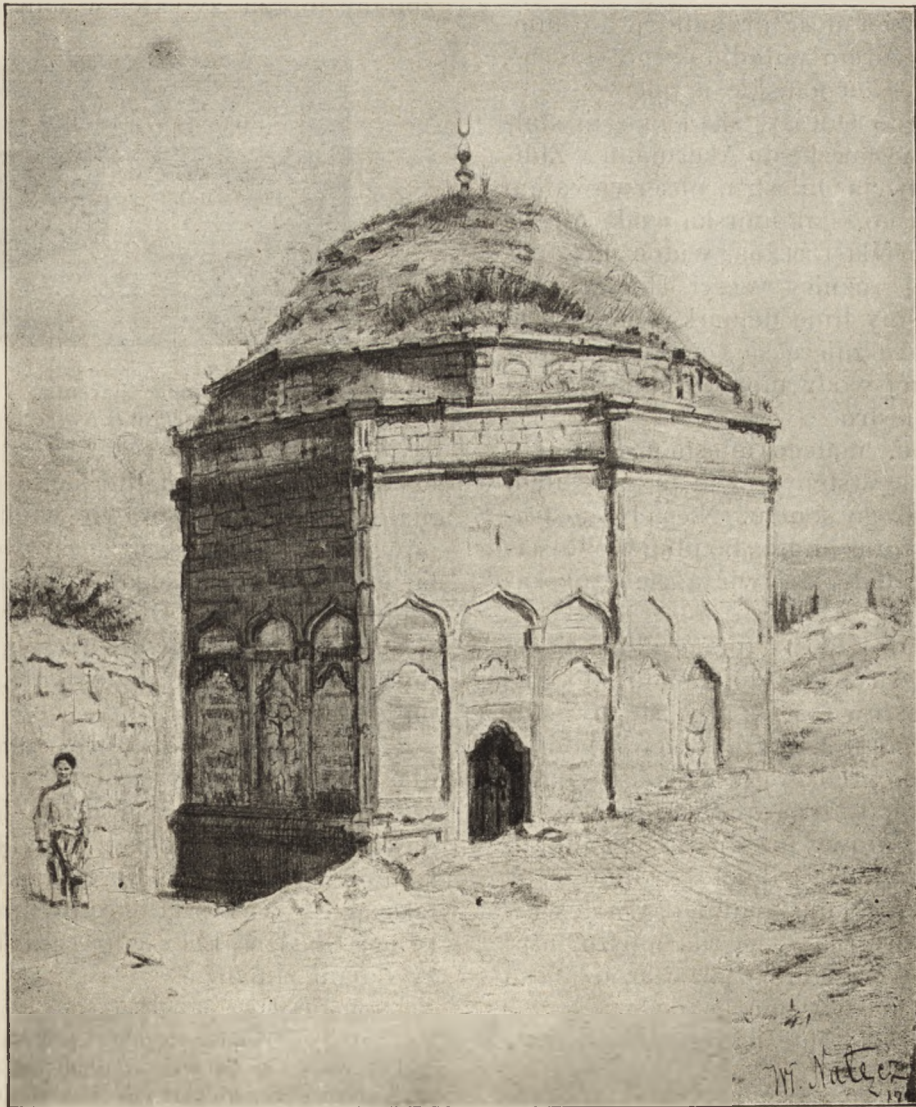
Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;**  
otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 11-ej z rana do 1-ej po południu i od  
4-tej po południu do 6-tej z wieczora.

Nr. 35.

Warszawa, d. 27 (14) Sierpnia 1904 r.

Rok III.

Do art. p. t.: ŚLADEM „SONETÓW KRYMSKICH”.



Grób Marji Potockiej.

(Rysunek Wł. Nalecza.)

WŁODZIMIERZ NAŁĘCZ.

## Śladem „Sonetów krymskich”.

(W maju i czerwcu r. 1903.)

Już podczas pierwszej mojej podróży artystycznej do Krymu, przed laty czternastu, powstała we mnie myśl odtworzyć w barwach: „Sonety krymskie Adama Mickiewicza”, te perły poezji naszej, wspaniałe swoją plastyką, kolorytem i charakterystyką...

Atoli w roku 1903 dopiero mogłem wyruszyć śladem naszego wieszczka, który przed siedemdziesięciu siedmiu laty (w maju i czerwcu) odbywał tę podróż, mając lat dwadzieścia siedem. Zachowałem umyślnie te same miesiące dla większej ścisłości kolorytu, gdyż w lipcu, na przykład, zieloność brunatnieje — zmienia się, spalona żarem południowego słońca...

Więc stepy Akermanńskie najpierw...

Przybyłem do Odessy, skąd małym statkiem zrobiłem wycieczkę do Akermanu... Zbliżwszy się do ujścia Dniestru, obserwowałem ciekawe widowisko, — jak morska woda nie lubi się łączyć z wodą rzeczną, widocznie z powodu ogromnej różnicy części składowych. Oto przepłynęliśmy linię demarkacyjną, ściśle określoną, choć ruszającą się, ciemnej, szmaragdowo-błękitnej wody morskiej, obok szaro-żółtych wód Dniestru.

Z Akermanu, małego miasta powiatowego, zapuściłem się w stepy, gdzie przeżywałem wrażenia pierwszego sonetu. Niestety, „ostrowów burzanu” coraz mniej, bo pług nielitościwy pruje dalej i dalej dziewiczą glebę obszarów...

Wróciwszy do Odessy, przesiadłem się na duży statek i wyruszyłem do Krymu — do Eupatorji, czyli Kozłowa, by z jego stepów studjować „widok gór”. Naturalnie, teraz podróż odbywa się daleko prędzej — w ciągu czternastu godzin — na doskonałych parowcach, gdyż o statkach żaglowych mowy już niema. Z punktu widzenia malarskiego jednak te współczesne „ichtjozaury wodne” daleko mniej są małownicze, aniżeli piękny żaglowiec na morzu, płynący wszystkimi żaglami i, jak czarodziejska wizja, znikający na horyzoncie...

Morze było spokojne nadzwyczaj — prawdziwa cisza morską:

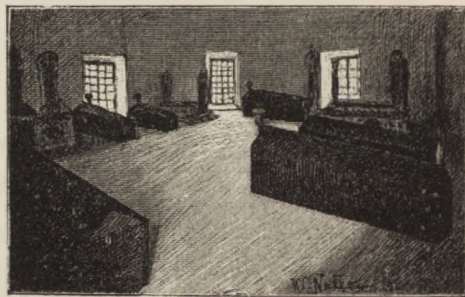
„Już wstążką pawilonu wiatr za ledwie muśnię,  
„Cichemi gra pierściami rozjaśniona woda,  
„Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,  
„Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu usnie...”

Lecz —

„O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,  
„Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy;  
„A gdy serce spokojne, zatapia w nim szpony.”

Tak i ja, samotny i smutny, siedziałem na pokładzie statku, wśród hałaśliwej gawiedzi turystów, cieszących się z pięknej podróży, słońca, powietrza, bo — „hydra pamiątek”, związana z poprzednimi moimi podróżami do Krymu, zatapiała w moim sercu szpony.

Pod wieczór, gdy zbliżaliśmy się do wysokości Tarkankutu, trzeba było oczekiwać zmiany morza, zwykłej w tem miejscu. I rze-



Mogily haremu.  
(Rysunek Wł. Nałęcz.)

czywiście, niebo zamgliło się, a morze poczerniało. Jednocześnie prawie wielkie stado delfinów, jakby spostrzegszy nasz statek, na przelaj rzuciło się do niego, dopędziło i puściło się z nim w zawody. Obserwowałem z zacięciem to, dość zwykle zresztą urozmaicenie podróży morskiej, przerywające monotonię puszcz wodnych.

Dziwnie silne i bystre „morskie straszdyła” nie zadowalały się tym, że płynęły w parze z okrętem, lecz wyrzucały się w powietrze, dawały nurka pod okręt, głównie koło dziobu, i znowu pokazywały się z przeciwnej strony — tak ciągle towarzysząc okrętowi, jakby nie chciały nas opuścić. Lecz te harce delfinów też wróżyły nam zmianę...

„...Szum większy, gęściej morskie snują się straszdyła...  
„Wiatr! wiatr! dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła.  
„Przewala się, nurkuje w pienie zamieci.  
„Wznosi kark, zdeptał fale i skroś niebios leci,  
„Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła...”

Zaczęło na dobre kołysać, — a wkrótce nastąpiły i skutki tego — w ciągu kilku godzin po-

łowa pasażerów już jęczała w chorobie morskiej... Nastąpiła noc... Ja, przyzwyczajony do morza, dzięki mym wielokrotnym podróżom morskim, trzymałem się dobrze.

Nad ranem byliśmy przed Eupatorją. Eupatorja, czyli Kozłów (u tatarów Hēzlēn) leży w stepowej części Krymu i z morza przedstawia się dość malowniczo w swoim wschodnim charakterze. Prawda, że statek nie zbliża się do brzegu, bo morze tu płytkie. Brzeg piaszczysty, łagodnie pogłębiający się, co nadaje wyjątkową wartość tutejszym kąpielom morskim i czyni z Eupatorji pierwsze miejsce kąpielowe w całym Krymie... Większe i ładniejsze budynki ciągną się wzdłuż brzegu, gdzie założono też bulwar, z krzewami dość dobrze rosnącymi, bo wegetacji w ogóle tu wielki brak. Dalsza część miasta przedstawia typową, brudną, tatarską sadybę: ulice krzywe, wąskie, domy z oknami wewnątrz, sporo minaretów. Z miasta starego, oprócz resztek ścian, przechował się dobrze duży meczet Dżuma-Dżami, zbudowany w r. 1552 przez Chana Dewlet-Gireja. To jeden z największych meczetów w Krymie, wzorowany na planie meczetu Sofji w Konstantynopolu... Muszę tu przypomnieć, co do opisów miast i w ogóle całego Krymu, że — najstarszy i bardzo ciekawy posiadamy w naszej literaturze. Jest nim „Opis Tatarji” przez Marcina Broniewskiego, posła Stefana Batorego, który w roku 1578 zwiedzał Krym w poselstwie od króla.

Wypocząwszy w Eupatorji po trudach podróży morskiej, zapuściłem się na drugi dzień w stępy Kozłowa. Jechałem pierwszych dwadzieścia wiorst przez tak zwaną „Pieresyp” — długi, wąski przesmyk między morzem a słonym jeziorem „Siwacz” czyli „Zgniłe”. Tu się wydobywa sól w wielkiej ilości. Podziwiałem góry soli, ułożone w ogromne, ścięte piramidy, bielejące wśród brunatno-czerwonawego stepu. Liczne okręty, stojące u brzegu, ładują sól i rozwożą w różne strony. Sól wszędzie, nawet w powietrzu, unosi się w postaci pyłków i osiada na twarzy. Dodać jeszcze trzeba do tego specyficzny zapach wysychających jezior, a całość się złoży na wielce oryginalny, choć nieco monotony, krajobraz.

Dalej minąłem Saki, słynne swoją lecznicą — waniem błotnych, silnie działających. Na horyzoncie coraz wyraźniej zarysowuje się linja gór krymskich, z dominującym Czatyrdahem — „masztem krymskiego statku”.

Ze stepów Kozłowa przyjechałem do Symferopola — miasta gubernjalnego, położonego nad rzeką Salhirem, biorącą początek ze skał

Czatyrdahu. Miasto — zwykły typ miast południowych w Cesarstwie — nudne, zapyłone; domy murowane, nużące swą monotonią, przeważnie parterowe, płyty kamienne i zapyłone białe akacje po bokach ulic. Nie miałem zresztą zamiaru tutaj się zatrzymywać, gdyż nęcił mnie Bachczesaraj, dawniejsza stolica chanów (od r. 1422 do r. 1783), który i teraz zachował swój charakter wschodni. W ogrodach pałacu chanów — tyle pamiątek, tyle ruin obok, gdzie wszystko mówi o minionej, a bujnej i świetnej przeszłości.

Miasto wciśnięte w długi wywóz między górami, tak nawet, że z dworca nie widać domów; dopiero gdy się wjeżdża w bramę w postaci arki, miasto otwiera się jedną wąską, długą, zarazem główną, ulicą. Parter domów zajmują małe sklepy i pracownie, gdzie siedzą rzemieślnicy i w oczach przechodniów wyrabiają swoje towary, a to już przynosi turystę na wschód. Dodać do tego trzeba wielką ilość fontan i minaretów, krzyków tatarskich przekupniów, poważne postaci mułłów w turbalach i zawojach, pięć razy zwołujących z minaretów wiernych na modlitwę, a obraz będzie kompletny...

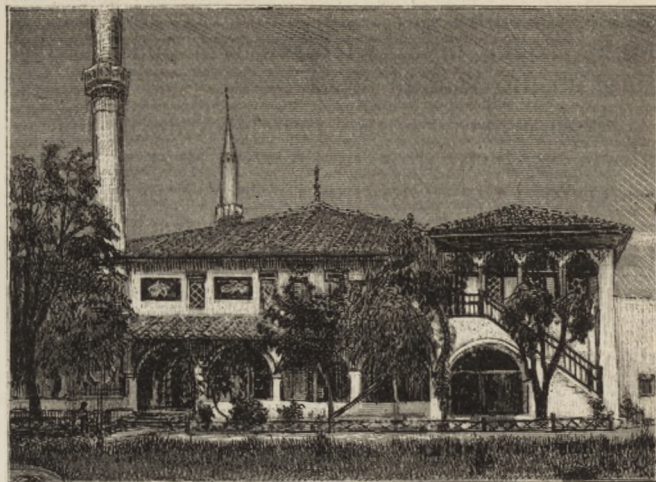
Na drugi dzień pierwsze swoje kroki skierowałem do pałacu chanów, wcale dobrze podtrzymanego i pilnowanego. Całość z ogrodami zajmuje duży czworobok, położony w środku miasta nad rzeczulką, przez którą przerzuciono most, prowadzący do głównej bramy. Z zaciekawieniem oglądałem te — we wschodnim charakterze zbudowane, — niegdyś.

„Zmiotane czołem baszów ganki i przedsienia,  
„Sofy, trony potęgi, miłości schronienia..”  
...W środku sali wycięte z marmuru naczynie —  
„To fontanna haremu; dotąd stoi cało  
„I, perłowe łyzy sącząc, woła przez pustynie:  
„Gdzież jesteście, o miłości, potęgi i chwały?!  
„Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie;  
„O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało..”

To źródło haremu, inaczej „fontanna łez”, albo fontanna Marji Potockiej. Niestety, i źródło przeszło, i woda, jak łyzy, nie sączy się z górnego otworu w niższe rezerwoary...

Przez sale rozmaite, jak sala Sądu, przyjąc, samego chana, śpieszyłem do dwóch pokojów Marji Potockiej, leżących obok komnat samego chana. Tradycja o ukochanej i pięknej żonie Kerym-Girej-Chana, z domu Potockiej, tkwi żywo dotąd w podaniach ludu miejscowego, jak również znany i jej grób, leżący opodal za górnym ogrodem, w postaci ośmiokątnego „türbe”, czyli mauzoleum. Wieszczy nasz wziął więc temat z żywego podania ludowego, w którym zawsze jest wiele prawdy.

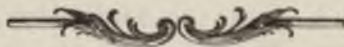
Niektórzy pisarze rosyjscy utrzymują jednak, że to nie była Marja Potocka, polka, lecz jakaś gruzinka. Twierdzenie swoje głównie opierają na napisie na mauzoleum nad drzwiami, opiewającym: „Zmów modlitwę za duszę Dilary-Bikecz”. Niemniej przeto, podług naszego zdania, nie jest to dowodem stanowczym, gdyż, oczywiście, branka Marja Potocka w niewoli nazywała się inaczej — z tatarska, więc łatwo mogła przyjąć imię Dilary-Bikecz. A zarzut, iż tatarzy w połowie ośmnastego wieku tak łatwo niewolnic z domu Potockich uprowadzić nie mogli, nie jest dostateczny. Znane są ostatnie zaburzenia kozackie na Ukrainie, skąd niemało ludu uprowadzono i sprzedano sąsiednim tatarom. Handel niewolnikami, osobliwie szczepów słowiańskich, kwitł przecież wówczas w Krymie, a niewolnicy z narodu królewskiego (t. j. jeńcy polscy) osobliwie byli cenieni. Na Ukrainie liczne są rodziny szlacheckie Potockich, i wspomniana branka niekoniecznie miała należeć do możnego domu dziedziców Humania, który najazdom tatarskim lub rozruchom kozackim mniej był do-



Część meczetowa pałacu chanów.  
(Rysunek Wł. Natęcza)

stępny. Nareszcie—żywe podanie ludowe... Wszystko to są dane trwale, z których poeta nasz mógł śmiało wyśpiewać swój śliczny sonet ósmy.

(D. n.)



PIOTR LOTI.



# I N D J E.



w przekładzie

JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

Zresztą to najście głodnych urasta z każdą godziną, jak napływ morza, od wsi ku miastu— a drogi na równinie poznaczone są temi, którzy umierają, zanim dojdą do wrót.

Przed przekupniem bransolet, który zajada gorące naleśniki, zatrzymuje się kobieta prosząca, widmo kobiety, przyciskająca do piersi zeschłych i do kości tułowia skielecik-niemowlę. Nie! nic jej nie da ów kupiec, nie raczy nawet spojrzeć! Więc w szal wpada ta matka o łonie wyczerpanym, na którym dziecię umiera, i zęby jej rozchylają się w przeciągłym wyciu wilczycy. Młodą jest i piękną była bez wątpienia; na licach zniszczonych jeszcze ślady młodości: szesnaście lat, niewięcej, dziecko prawie... Teraz dopiero zrozumiała, że nikt się nad nią nie ulituje, że jest skazaną; przedłuża więc krzyk swój beznadziejny, z potrzeby wycia, ak zwie-

rzęta na rzezi; gdy obok przechodzą spokojnie, ciężkim swym krokiem, wielkie słonie pękate, spożywające temi czasy paszę, przywiezioną z bardzo daleka i kosztującą bardzo drogo.

A ponad krzykiem tych tłumów unosi się krakanie wron i kruków, na dachach, w powietrzu—stadami tysiącznemi. Ten wieczny zespół krakania tu, w Indjach, góruje nad wszystkimi hałasami ziemi, wzbiera *crescendo*, do prawdziwego szalu: czasy głodu, odkąd poczuły wszędy woń trupów, dla kruków, much i jastrzębi—to czasy obfitości i uciech.

Tymczasem krokodyle królewskie w głębi ogrodów obmurowanych dostaną zaraz swój obiad codzienny.

Cały to świat—ten pałac królewski, z przyległościami bez końca, ze stajniami dla słoni; aby dostać się do sztucznego jeziora, w którym

mieszkają krokodyle, trzeba jeszcze przebyć bez liku wysokich bram żelaznych, najeżonych, podwórców olbrzymich, jak podwórce Luwru, zabudowanych ponuremi gmachami z oknami zakratowanymi—i z murami—to się wie—różowemi w białe kwiaty rozsiane. W dzielnicy tej tłum dzisiaj i wywoływanie: to dzień wypłaty żołdu wojskowego; wszyscy więc tu czekają, dzicy nieco i częstokroć wspaniali, z lancami w dłoni i ze sztandarami; płacą im dawną moneta: ciężką, srebrną, okrągłą lub brązową, czworokątną.

W sali marmurowej z rzeźbionemi łukami i kolumnami, na warsztacie tkackim rozpięto olbrzymią zasłonę z aksamitu purpurowego, a dziesięciu hafciarzy pracuje nad nią, wypukłym złotem wyprowadzając kwiaty: jest to nowa szata dla jednego ze słoni-ulubieńców.

Ogrody, dzięki pracowitemu zraszaniu, są jeszcze jako-tako zielone; pośrodku tego kraju spalonego nęcą oczy, jak oazy; poza tym—prze-stronne, jak parki i smętnie wytworne pomiędzy murami zębatego, pięćdziesiąt stóp wysokimi; aleje równe, modą staroświecką, i bruk z marmuru; palmy, cyprysy, mnóstwo róż i małe gaiki pomarańczowe, napelniające powietrze wonią; wszędy marmurowe fotele do odpoczynku w cieniu, marmurowe altany dla bajader i zbiorniki marmurowe do kąpeli królewskich. Pawie, małpy, a nawet tam, pod pomarańczowemi drzewami, szakale na łupiestwie, ukazujące swe pyski wężące.

Wreszcie—staw wielki, także zamknięty w murach przeogromnych i wyschły do połowy z powodu dwu-trzyletniej suszy stałej bez deszczu. Tam, na szlamie brzeżnym, drzemią olbrzymie, stuletnie krokodyle, podobne raczej do skal; lecz oto zbliża się starzec, cały w bieli, i poczyna śpiewać na stopniach, schodzących do wody, śpiewać głosem czystym i donośnym muezzina, zwołując je zarazem ruchami rąk szerokimi. Bestje budzą się, zrazu powolne i leniwe, wkrótce jednak straszne zwinnością i gwałtownością, zbliżają się pośpiesznie, płynąc w towarzystwie olbrzymich żółwi żarłocznych, które także usłyszały wołanie i także chcą jeść. Wszystko to tworzy koło u stopni wschodów, na których stoi starzec wraz z dwoma służącymi, trzymającymi kosze z mięsem. Paszcze lepkie i sine otwierają się, gotowe do żarcia, a wtedy wrzucają w nie całe ćwiartki kozie, surowe uda, płuca i wnętrzności.

Tam jednak — na ulicach — nikt śpiewami muezzina nie zwołuje głodnych na posiłek. Jeszcze nowi przybysze włóczący się wyciągają ręce, biją się w brzuch zapadły, gdy kto na nich spojrzy; inni, straciwszy nadzieję na po-

moc, układają się do skonu, gdzie wypadnie: u stóp—między tłumem a końmi.

Na skrzyżowaniu dwu alei pałaców i świątyń różowych, na jednym z tych placów, które zaścielają przekupnie, dworzanie, kobiety, okryte muślinami i uwieńczone złotemi manelami, jakiś cudzoziemiec - francuz zatrzymuje swój pojazd koło kupy wstrętnej ludzi, z ciała wyzuty, którzy nie ruszają się; pochylił się ku nim, by włożyć jałmużnę do ręki bezwładnej.

I oto naraz, jakby zmartwychwstanie całego zastępu mumji: głowy się unoszą z pod łachmanów, okrywających tę kostnicę; oczy patrzą i kształty szkieletowe powstają.—„Co? Dają jałmużnę! Znalazł się ktoś, co daje! Można więc kupić coś do zjedzenia!“ Ocknienie tych trupów posuwa się szybko łańcuchem aż do kup w dali spoczywających, poza przechodniami, poza stosami materji i straganami z pieczywem. I wszystko to hurkoce, podnosi się i zbliża: maski trupie z zębami ogromnemi z pod warg odchylonych, oczy puste z rzęsami, przez muchy zjedzonemi, piersi, które wiszą, jak wory puste na obręczach jamy piersiowej, szkielety, potrącające się z szelestem kawałów drzewa. I oto na chwilę cudzoziemiec, otoczony kręgiem cmentarnym, ciśniony, szarpany rękoma straszniemi, jak szpony, groźniemi, silącemi się wyrwać pieniądze; gdy oczy biedne, żalosne, przeciwnie, proszą o przebaczenie, dziękują i modlą się...

A potym w milczeniu wszystko to się zapada. Jedno z widm, chwiejące się z osłabienia, potrąciło widmo sąsiednie, które potrąciło następne, i tak dalej opadanie udzielało się po kolei, nie budząc szmeru, ani protestu, zahaczając najbliższe i powalając wszystkie, jak marjonetki żalosne, jak kręgle postręcane; potym stoczyło się to w pył, zemdlone, i nie podniosło się już...

W tej chwili właśnie zbliża się muzyka, nowy pogwar tłumy: to orszak przybywa, orszak religijny, zwiastujący na jutro uroczystość w świątyniach Brahmy. Jeden ze straży przedniej, torującej drogę, pochwytuje w przelocie starą kobietę zgłodzoną, która, padając rękoma na krzyż, licem w pył, przekracza linię dozwoloną; odrzuca ją wtedy na chodnik, rozbitą, jęczącą...

A oto i sam orszak piękny. Rozpoczyna go czarny słoń, cętkowany złotem aż do końca trąby, za nim postępuje muzyka krokiem uroczystym z kobzami i miedzianemi instrumentami, grając melodię smętną w tonie minorowym.

Za nią cztery szare słonie postępują od lica, niosąc na sobie efebów, ubranych za bogów, z wysokimi koronami z pereł na głowach,

którzy sypią na lud pył kolorowy i wonny. Zda się, że sypią chmurki, tak pył ten spoisty i lekki; słonie ich, którym najwięcej się go dostaje, zabarwione dziwacznie: jeden fioletowo, drugi na żółto, trzeci na zielono, czwarty na czerwono. Sypią całemi garściami uśmiechnięci ci efebowie, i tłum barwi do ich woli: szaty, za-

woje i twarze. Nawet małe dzieci konające, małe skielety głodowe, leżące na krzyż i ostatnim spojrzeniem patrzące, otrzymują pocisk prochu czerwonego, woniącego drzewem sandalowym; ruch rąk ich omdlałych za słaby, by zapobiedz: mają go pełne oczy.

(C. d. n.)



LEOPOLD JANIKOWSKI.

## Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy.)

Po zachodzie słońca stanęliśmy na noc, przywiązawszy szalupę do nadbrzeżnego drzewa; inaczej silny prąd wody, uniósłby ją, pomimo zarzuconej kotwicy. Brzeg trzeba było wybierać wysoki, gdyż w niższych miejscach słonie przychodzą w nocy pić wodę.

Noc przeszła spokojnie, komary mniej dokuczały, wiosłarzy pokrzepił sen tak, że przed wschodem słońca mogliśmy puścić się dalej. Brzegi rzeki śliczne, roślinność wspaniała, las ożywiony, mały, ptactwa różnego pełno. Spotykamy wiele pirog, obładowanych olejem. Posuwamy się bardzo powoli, najmniejsza przerwa w uderzeniach wiosła, a natychmiast prąd cofa łódź w tył. Krajowcy, oprócz wiosła, używają do pomocy tyczek bambusowych; idziemy za ich przykładem.

Przeptywając około miasta *Molange*, zatrzymujemy się, aby kupić świeżej prowizji. Hetman miasta, sądząc, iż nie mamy co jeść, nakłada szalone ceny, za kurę np. po 3 rb. Zawiódł się jednak. Następnie, gdy widział, iż gotujemy własny ryż i konserwy mięsne, też same kury sprzedał po 1/2 rubla. Przyniósł owoców, wina palmowego w prezencie, w zamian otrzymał trochę drobnostek.

W tej okolicy pełno aligatorów w rzece, oraz dużych węży wodnych, lecz nie jadowitych. Prawdziwą plagą są roje drobnych, czarnych muszek. Musieliśmy oczy zamykać, gdyż wciskały się pod powieki. W żaden sposób nie można się od nich uwolnić, wszystko pokryte czarną, ruszającą się warstwą: jedzenie, napój. Nawet do szklanki, którą mam przy

ustach, jeszcze ich się pełno ciśnie. Roje pięknych, olbrzymich motyli krążyło nad naszymi głowami; siedząc w łodzi, chwytalem je siatką.

Przed wieczorem minęliśmy miasta *Misaka* oraz *Mbouje*. Rzeka ciągle szeroka, lecz częste mielizny, przy których muszą ludzie wysiadać i ciągnąć łódź. Brzegi porośnięte pysznymi drzewami, niektóre prawdziwe olbrzymy, wysokie po kilkadziesiąt łokci. Palm olejnych bardzo wiele. Krajowcy, uprzedzeni na całej linii o naszym przybyciu, oczekują w niektórych miejscach na brzegu, przypatrując się ciekawie. Wieczorem stanęliśmy, jak zwykle, przy brzegu, uwiązawszy łódź u drzewa. Noc ta będzie mi na długo pamiętna. Znużeni całodziennym upałem, zaledwieśmy zasnęli na twardych ławkach szalupy, gdy naraz jeden z murzynów — budzi nas, wołając z niepokojem: „Sango—tornado”.

Noc była jasna księżycowa, naraz nadpłynęły czarne, ciężkie chmury, nastąpiła ciemność taka, iż jeden drugiego nie widział, wiatr ustał, zapanowała cisza, której nie przerywał najmniejszy szelest w pobliżu. Za to w oddali słyhać było głuchy szum: ryk, jakby morza, którego fale rozbijają się o nadbrzeżne skały. Odwiązaliśmy czempredzej łódź i zepchnęli ją na środek rzeki, tam zarzuciwszy kotwice, wiosłując o tyle, aby, pomimo prądu, stać w miejscu.

W samą porę, odsunęliśmy się od brzegu, gdyż w tej chwili huragan ogarnął las cały. Zdawało się, iż tysiące armat zagrały odrazu. Lunał deszcz silny, pioruny uderzały jeden po

drugim. Huk drzew olbrzymich, walonych przez tornado, lub trzaskanych piorunami, świst przeraźliwy wiatru, krzyki ptactwa i zwierza wystraszonego, nie wiedzącego gdzie się schronić, szum wody, rozkołysanej wiatrem—wszystko to razem, w oświetleniu błyskawic, tworzyło straszny, lecz wspaniały, obraz.

Często ogromne drzewa nadbrzeżne, poruszone w korzeniach, padały w wodę i, zagłębiając się w muł, wystraszały z niego ryby i ukryte aligatory.

Deszcz nie ustawał noc całą, przemokliśmy zupełnie, woda dostała się do skrzyń z materjami i prowiantem. Dopiero nad ranem uspokoiło się.

Litość brała na myśl o naszych wioślarzach—biedacy, bez ubrania prawie, całą noc na deszczu. Chcąc, aby się rozgrzali, wydobywam wódki i wtedy ze zdumieniem spostrzegam, iż wszyscy, nakryci żaglem, leżąc na wpół w wodzie, chrapią w najlepsze! Zazdrościć im można zahartowania! *Tornado*—to rzecz dla nich zwykła, w wycieczkach na polowanie przywykli sypiać na rozmokłej ziemi, śród deszczu, więc i tę noc przespali smacznie.

Ze wschodem słońca dopiero obraz спустoszenia, jaki huragan po sobie zostawił, stał się widocznym. Owo drzewo, przy którym łódź nasza była początkowo przywiązana, leżało do połowy strzaskane, las w niektórych miejscach przerzedzony; olbrzymie pnie, unoszone wodą, czyniły żeglugę niebardzo bezpieczną w wyższych zakrętach rzeki. Wioślarze nasi mieli wielką ochotę wylądować, dla poszukiwania zwierząt pozabijanych; nie było jednak czasu na to—popłynęliśmy dalej.

Po brzegach pełno śladów słońi; małpy wielkie, czarne, przypatrują się nam z daleka, strzelano już do nich widocznie, bo, gdy tylko spostrzegą w rękach naszych broń, w tej chwili chowają się za pnie drzew, ostrzegając krzykiem inne.

Całe stada czarnych papug przelatują z drzewa na drzewo, gwizdząc. Tych strzelamy dosyć, mięso nie jest smaczne, twarde, lecz za to buljon wyborny.

Chcąc ugotować śniadanie, upatrywaliśmy jakiegokolwiek miasta po drodze, lecz napróżno; być może, iż są lecz ukryte w głębi lasu, gdzie krajowcy bezpieczniejsi od niespodziewanych napadów.

Chcieliśmy wreszcie gdziekolwiek rozpaść ogień, lecz wysokie brzegi nie pozwalały wylądować.

Nareszcie przed wieczorem przybijamy do małej biczki i po wylądowaniu ze zdziwieniem spostrzegamy dwu krajowców, sie-

dzących na wysokim drzewie. Ukryci pomiędzy gęstymi konarami obserwowali nas od dawna.

Byli to mieszkańcy *Mussumbe*, które leży daleko od brzegu; kraj to już *Balangu*.

Przyprowadzili nam małą kózkę na sprzedaż lecz zażądali tylko... 20 rubli! Murzyn na wpół dziki, widząc białego, słysząc ciągle o jego bogactwach, nie wie, jaką ma cenę nałożyć na to, co sprzedaje. Rozumuje sobie: „A nuż powiem za mało? Lepiej się targować.” Często np. bywa tak, że, choć drogo ceni, lecz potrzeba mi tego przedmiotu koniecznie lub jestem znużonym, zgadzam się więc od razu na podaną cenę. Murzyn się zastanawia... Ehe!—myśli sobie—kiedy tak odrazu płacisz, to znaczy, iż przedmiot wart więcej—i zrywa umowę.

Po dwu godzinach targu oddali kozę za 5 rb.

Tegoż dnia minęliśmy miasta: *Bakwileh* i liczne *Pundo*.

Gorąco nieznośne, przytym pełno much jadowitych z tak silnym żądłem, iż przebijają dwa, trzy ubrania.

Płynęliśmy do późnej nocy, dopiero zupełna ciemność do zatrzymania się zmusiła. Po poprzednio niespanej nocy potrzebowaliśmy wypoczynku. Długo jednak nie mogłem zasnąć wobec dzikiego koncertu, jaki nam wyprawiali mieszkańcy lasu: ryk słońi, zbliżających się do wody, łączył się z krzykiem małp. Różne gatunki wydawały różne głosy: jakies jęki nieprzyjemne, to znów śmiech, rzenie, pisk, nawoływania i t. p.

Obok szalupy w krzakach dokazywał jakiś zwierz, może krokodyl, bo rzucał się do wody i znów wyskakiwał na brzeg. Dodawszy do tego krzyki ostre nocnych ptaków, mieliśmy afrykańską muzykę leśną, która mogła odpędzić sen.

Z radością powitałem wschód słońca, wtedy bowiem wszystko milknie, rzeka i las otacza tajemniczą ciszą, przerywana tylko pluskiem wioseł i lekkim szmerem dłużych liści palmowych, które wiecznie się kołyszą, jakby wachlarze olbrzymie.

Następnego i ostatniego dnia podróży, upał był nieznośny, wioślarze tracili siły, musieliśmy robić przystanki w cieniu drzew nadbrzeżnych. Brzegi, około których płynęliśmy, pyszne pod plantacje, ziemia czarna, teren równy, płaski. Plantacji też coraz więcej, wszystkie są własnością kameruńczyków, w ich też rękach spoczywa cały handel rzeki *Mungo*.

Mijają nas ciągle łodzie, obładowane olejem i hebanem, którego na górnym *Mungo* wielka obfitość.

Na zakręcie rzeki spostrzegam szarą masę płynącą, myślałem z początku, iż to łódź z daszkiem bambusowym; dopiero podpłynawszy bliżej, przekonywam się, iż to olbrzymi słoń rudawego koloru, przepływający się z jednego brzegu na drugi. Nabierał on trąbą wody i wyrzucał ją w górę, oblewając się

tym sposobem. Cdyśmy byli na jakich 100 kroków, słoń spostrzegł łódź naszą, wylądował, nie śpiesząc się, i wolnym, ociężałym krokiem wszedł do lasu. Podziwiałem, jak ten kolos szybko płynie lub wdrapuje się na zupełnie strome, parę sążni wysokie, brzegi.

(C. d. n.)



JOZEF GIEYSZTOR.

## Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

Nie było tu co robić. poszliśmy więc do innych lepianek. Po długich poszukiwaniach i pertraktacjach, znaleźliśmy w końcu chętnego, który za podwójną cenę zgodził się nas odwieźć do Fulardi.

Dżonka nasza była to spora łódź żaglowa z pokładem, dźwigająca do 1000 pudów ładunku, z załogą z 4 ludzi. Ponieważ było zimno porządnie, wpakowaliśmy się przeto pod pokład i usadowili na naszych trokach, a na kupie kartofli, leżących w kacie, umieściliśmy „Dża” — sokoła myśliwskiego, którego B. kupił w Cycykarze.

Nonni jest rzeką ładną i oblitą w wodę, brzegi ma jednak płaskie i w tej części, którąśmy przejeżdżali, mało zaludnione. Droga byłaby bardzo mało urozmaiconą, gdyby nie stada gęsi i kaczek, które coraz to przeciągały nad nami. Strzelaliśmy kilkakrotnie i para kaczek stała się naszą zdobyczą. Ofiarowaliśmy je naszym żeglarzom, którzy natomiast uczęstowali nas herbatą cegiełkową.

Do Fulardi przybyliśmy już pod wieczór, zziębnięci i głodni. I znowu, jak po powrocie ze stepów mongolskich, powitaliśmy z zadowoleniem nasz ciepły wagon, Iwana z samowarem i czystą pościel.

Po ukończeniu badania linii kolejowej zachodniej, od Mandżurji do Charbina, zrobiliśmy przerwę tygodniową dla uporządkowania zebranego materiału. Spędziliśmy ten tydzień w Charbinie. Skorzystałem z wolnego wieczora, aby pójść do teatru chińskiego, których Charbin posiada dwa. Ponieważ było

nas kilku, zajęliśmy łożę, jedyną w teatrze, a znajdującą się na piętrze wprost sceny. Sala widzów na dole była zastawiona stolikami, wokoło których siedziała publiczność, prawie wyłącznie chińczycy. Na galerji nie było oddzielnych stolików, ale przed ławkami ciągnął się jakby jeden długi, a wązki, stół. Służył on, jakem się zaraz przekonał, do ustawienia przed każdym z widzów filiżanki z herbatą i spodeczka z nasionami harbuza. Scena znajdowała się na podwyższeniu. Koło jedynej, tylnej ściany, posiadającej dwa wejścia dla aktorów, siedzieli przy stoliku muzykanci, uzbrojeni w trąby, piszczałki, bębny. Dekoracji żadnych.

Przedstawienie składało się, jak głosił czerwony afisz, z kilku sztuk. Pomimo starannych objaśnień, dawanych przez jednego z obecnych chińczyków, treści ich dokładnie wyrozumieć nie mogłem, wiem tylko, że jedne z nich przedstawiały sceny z życia powszedniego, oparte na zdradzie małżeńskiej, inne wskazywały na pożałowania godny stan życia pośmiertnego złych urzędników, ostatnia wreszcie rzecz była sztuką historyczną, z czasów powstania Czarnych chorągwi w Tonkinie. W przedstawieniu obok mężczyzn brała udział i kobieta-chinka.

Rzeczy z życia powszedniego grane były wcale dobrze, z wyrazistą mimiką i realizmem, przechodzącym często pojęcie o przyzwoitości. DIALOGI prowadzone były głosem śpiewnym przy ciągłym akompaniamencie muzyki. Od czasu do czasu obnoszono herbatę pomiędzy



aktorów, którzy przerywali wówczas rozmowę i pili parę łyków z filiżanki. Za to sztuka historyczna pełna była przesady, nienaturalności, sztucznych efektów, obliczonych na spotęgowanie wrażenia. Bohaterowie chodzili po scenie krokami olbrzymiemi, powoli, mieli straszliwie pomalowane twarze, mówili nie inaczej jak z krzykiem. Szczególnym powodzeniem cieszyły się wśród publiczności sceny walk, która zadowolenie swoje wyrażała okrzykami: „hao! hao!”, t. j. dobrze, dobrze! Przerw pomiędzy jedną sztuką a drugą nie robiono i, kiedy jedni aktorowie schodzili ze sceny, inni już rozpoczynali na niej swoje popisy.

Wschodnia linja kolejowa od Charbina w kierunku Władywostoku nosi charakter zupełnie odmienny od stepów i równin linji zachodniej. Już od pierwszej stacji za Charbinem miejscowość staje się falistą i wkrótce przechodzi w kraj górzysty i lesisty. Góry te to rozgałęzienia pasm górskich Czan-bo-szań, Lao-je-lin i Dżan-guań-caj-lin, niezbyt wysokich, bo nie przynoszących 2—3 tys. stóp, ale bardzo rozległych. Pokrywa je las mieszany: świerki, sosny, cedry, wiązy zwykłe i korkowe, jesiony, dęby, orzech włoski i t. d.

Zaludnienie jest tu gęstsze, niż w Mandżurji zachodniej, ale skupia się ono przeważnie w dolinach górskich, gdzie zajmuje się po trosze rolnictwem. Podstawowym jednak zajęciem ludności jest eksploatacja lasów, głównie na potrzeby kolei, a nadto myśliwstwo, zbieranie orzechów cedrowych, pędzenie smoły i wypalanie węgla, zbiór trawy „uła-cao”, którą wykładane bywa na zimę obuwiu, wreszcie poszukiwanie korzeni „żen-szeń” (Panax ginseng), cenionego wysoko jako środek leczniczy. Popyt na „żen-szeń” spowodował nawet sztuczną jego kulturę, ale „żen-szeń” ogrodowy ma posiadać dużo mniej właściwości leczniczych, niż dziki, więc i cena jego jest znacznie niższą: kiedy funt „żen-szenia” ogrodowego kosztuje 8—10 rb., cena jednego korzenia leśnego, wagi kilku funtów, dochodzi nieraz do kilku tysięcy diao, czyli kilkuset rubli. Badania, prowadzone przez lekarzy europejskich, nie stwierdzają jednak bynajmniej osobliwszych zalet leczniczych „żen-szenia”, który powodzenie swoje zawdzięcza, prawdopodobnie, reklamie i tajemniczości, jaką lekarze chińscy lubią otaczać swoje praktyki.

Do tegoż rodzaju specjalnie wschodnich środków leczniczych należą również „panty”, t. j. rogi jelenia maral (Cervus elaphus), zdjęte na wiosnę, kiedy pokrywa je jeszcze młoda skóra. Para takich rogów kosztuje 150—200 rubli, to też polowanie na marale stanowi jedno

z zyskownych zajęć plemion myśliwskich, zamieszkujących góry Dużego i Małego Chinganu. W Syberji wschodniej ludność miejscowa trudni się nawet domową hodowlą marali, którym co wiosnę odpiłowują młode rogi i wysyłają na rynki wschodnie.

Góry i lasy sprawiają, że w tej właśnie części Mandżurji ukrywa się najwięcej chunchuzów. Pochodzenie tych chińskich „Raubritterów” sięga bardzo dawnych czasów. Mandżurja północna oddawna uważana była za miejsce wygnania dla przestępców chińskich. Część zesłańców tych, nie znajdując zarobku, jęła się grabieży a prześladowana przez władzę poczęła dla obrony łączyć się w pewną organizację wojskową. Za teren operacyjny obrano trakty handlowe i rzeki spławne i tam prowadzono proceder pobierania pewnego podatku od kupców i przejezdnych. Wychodząc przytym z założenia, że źródło to dochodu jest jedyne i powinno być długotrwałe, chunchuzi podatek ów pobierali w odsetkach umiarkowanych, starając się nie rujnować kupców.

Z tego samego powodu unikano również przelewu krwi, uciekając się do gwałtu tylko w razie oporu czynnego i używając broni przeciw pościgom żołnierzy chińskich, a w czasach ostatnich—i rosyjskich. Chunchuzi z nad rzeki Lao w Mandżurji południowej, traktując swój proceder jako operację handlową, weszli nawet w porozumienie z agenturami asekuracyjnymi w Mukdenie, które za określoną płacę przyjmują obecnie ubezpieczenie ładownych od napaści chunchuzów i wydają pewnej barwy chorągiewkę, obecność jej na statku uwalnia go rzeczywiście od zatrzymywania w drodze.

Ale nawet tak „kupieckie” traktowanie sprawy przez chunchuzów nie zdoła zmienić faktu, że dla rozwoju handlu są oni ciężarem bardzo wielkim. To też wojska chińskie i rosyjskie ścigają chunchuzów zawzięcie i stąd wywiązują się często walki, kończące się krwawo dla obu stron. Właśnie podczas pobytu naszego na stacji Maoerszań oddział kozaków stoczył w pobliżu walkę z dużo silniejszą liczebnie bandą chunchuzów i stracił dowódcę, młodego oficera Cz., i 4 żołnierzy, których ciała przywieziono na stację.

Jak na linji zachodniej, gdzie stepowy na ogół charakter miejscowości ożywia pasmo gór Chingańskich, przecinających ją wpoprzek, tak i tu, na linji wschodniej, jednostajność lasów i gór przerywa kraj otwarty, o wysokiej kulturze rolniczej, ciągnący się po obu brzegach rzeki Mudandzian, t. j. rzeki piwonij. Ośrodkiem handlowym i administracyjnym

tego kraju jest miasto Ninguta, dawna stolica Mandżurji środkowej, dziś miasto gubernjalne „fu” — rezydencja fudutuna-gubernatora. Miasto położone jest na brzegu rz. Mudandzian, o 30 wiorst od kolei.

Udaliśmy się tam konno, traktem idącym od st. Chajlin. Droga wije się z początku wśród wzgórz, których szczyt pokrywa jeszcze karłowata dębina, gdy boki już są zorane w skiby. W miarę zbliżania się do Ninguty kraj staje się coraz bardziej płaski i wokoło panują już niepodzielnie pola prosa i bobu (*Dolchus soja*), tego podstawowego produktu rolnictwa mandżurskiego, który daje ludności mąkę, olej, wytłoczyny i słomę na sieczkę, podściół i opał. Do miasta przybyliśmy już po zapadnięciu zmierzchu i zatrzymaliśmy się u kupca rosyjskiego, prowadzącego tu handel kolonjalny.

Nazajutrz zwiedzaliśmy miasto. Nie różni się ono niczym od innych miast mandżurskich, np. Cycykaru, jest tylko mniejsze od tego. Poza tym, też same niebrukowane ulice, — główna zresztą wyłożona była wpoprzek deskami — domy z gliny lub niepalonej cegły, świątynie z ozdobami fantazyjnymi, także, tylko mniej bogate, sklepy, ten sam pył i zapach oleju bobowego. Ozdobą miasta jest ładna rzeka, Mudandzian, na której brzegu mieszczą się wszystkie wspanialsze domy: dawna rezydencja fudutuna, kwatery mandżurskiego dowódcy wojskowego, dom sędziego itd. — dziś wszystko zajęte przez wojskowych rosyjskich.

Odwiedziliśmy fudutuna. Mieszka on teraz na jednej z bocznych ulic, w małym domku, ale czuć, że się ma do czynienia z dygnitarzem. Przed domem stoi szereg osiodłanych koni dla kurjerów, rozwożących rozkazy wielkorządcy po prowincji. Przyjmuje nas w dziedzińcu urzędnik, odbiera karty i wprowadza do poczekalni. Po chwili na dziedzińcu formuje się szpaler podwójny z urzędników rozmaitego stopnia, środkiem jego przechodzi fudutun z pomocnikiem swoim: obaj już starcy poważni, w czapkach mandaryńskich z piórami pawimi, opadającymi na plecy, i z guzikami na wierzchu — fudutun z czerwonym, a pomocnik jego z niebieskim. Po nieuniknionej herbacie fudutun rozpytuje nas o cel naszej podróży; ze zmysłem kupieckim, wrodzonym chińczykom, chwytą go w lot i dają wskazówki i wyjaśnienia, dla nas nieocenione. Przychylając się do prośby naszej, polecił on nadto porobić na piśmie notatki o obrotach handlowych, o zaludnieniu, stanie przemysłu w swojej prowincji i t. d. Wychodzimy z jamynu ujęci uprzejmością i rozumem fudutuna, doskonale zdającego sobie sprawę zarówno

z pożytku kolei, jak i z wad, które są jej tymczasem właściwe w postaci nadużyć niższych agentów kolejowych.

Po obiedzie zrobiliśmy wycieczkę w okolicę, przeprawiając się za Mudandzian. Na polach, pokrytych ścierniskiem po żętych zbożach, coraz to podrywają się bażanty. Rozlega się więc nasza pukanina i wkrótce mamy siatkę wypełnioną 3-ma wspaniałymi kogutami. Zmęczeni, zachodzimy do najbliższej łanzu napić wody. Gospodarze otaczają nas ciekawie, oglądają strzelby, cmokają na syberyjnowe kurty nasze.

Wracamy do domu już o zachodzie słońca. Po ciepłym, jesiennym dniu wieczór jest jasny, ale chłodny. Z kominów wykwitają smugi dymu, a wraz z nim w powietrzu zaczyna unosić się zapach oleju bobowego. Gwar z pola i z licznych dróg przenosi się do wsi, która zdaleka huczy jak ul. Kępy drzew z oświetlonemi jeszcze wierzchołkami, fioletowe przeczecze pól, dalekie sylwety gór z zaróżowionemi szczytami — wszystko to składa się na bardzo ładny krajobraz. Zanim przybyliśmy nad brzeg rzeki, słońce już zaszło i księżyc kładł długie i drżące smugi światła na spokojne fale Mudandzianu. Koło promu nie zastaliśmy już nikogo. Długo hukaliśmy, zanim z drugiego brzegu nadpłynął przewoźnik i przewiózł nas do miasta, gdzie oczekiwał nas Dżan z kolacją.

Nazajutrz, po otrzymaniu z jamynu obywatelskich wypisów, ruszamy w drogę powrotną, ale już innym traktem, na stację Je-che. W pobliżu miasta ludność jest gęsta: jak okiem sięgnąć, wszędzie wokoło wsie i kolonje, a pola uprawne ciągną się bez przerwy. O dziesięć wiorst od Ninguty przeprawiamy się przez Mudandzian. Płaski z naszej strony brzeg wznosi się po stronie przeciwnej prawie prostopadłą skałą. W połowie jej wysokości przytyka do skały świątynia buddyjska, zniszczona podczas ostatniej wojny i dotychczas nie odbudowana. Na rzece unosi się z biegiem wody kilka łodzi; na przodzie każdej z nich czuwa w pozycji leżącej rybak z trójzębnym harpunem w ręku i patrzy w wodę; co chwila któryś uderza harpunem i wyciąga z wody nadzianą jak na widelec rybę. Jest to powszechny tu sposób poławiania ryb, dzięki nadzwyczajnej przezroczystości wody w Mudandzianie.

Po przepłynięciu się na małym promie na drugą stronę rzeki, wspinamy się w górę drogą wężykowatą. Z wierzchołka roztacza się wspaniały widok na płynącą w dole rzekę z łodziami rybackimi, na białą świątynię i dalekie pola. Dalsza droga idzie już krajem mniej zaludnionym i znaczna część jego nosi

jeszcze charakter stepu. Spotykaliśmy nawet dropie, a istną kanonadę wywołało ukazanie się lisa, do którego kozacy strzelali kulą z konia w pełnym biegu, naturalnie bezskutecznie.

Minęliśmy miasteczko Je-che i znaleźliśmy się znowu nad brzegiem Mudandzianu, który zatacza tu dość duży łuk. Przeprowadzono nas z powrotem na lewy brzeg rzeki, i, po przejechaniu jeszcze 5 wiorst, ujrzelśmy budynki stacyjne. Niestety jednak, nie było to Je-che, gdzie nas oczekiwał wagon, ale st. Mudandzian, dokąd doprowadził nas przewodnik, rozumujący, że jest nam wogóle potrzebna kolej, a nie specjalnie dalej położona stacja Je-che. Pomimo więc zapadającej nocy musieliśmy jechać wzdłuż plantu kolejowego jeszcze wiorst 8 i po raz trzeci przeprować się przez Mu-

dandzian. Tym przyjemniejszy był potym odpoczynek w wagonie.

Stacja Pograniczoje, leżąca rzeczywiście na pograniczu z krajem Ussuryjskim, była kresem naszej podróży ze specjalnym celem badania stanu ekonomicznego kraju, przeciętego przez kolej. Z powodu następującej już szybkimi krokami zimy zbadanie linii południowej, przecinającej najżyźniejszą i najbardziej zaludnioną część Mandżurji, odroczone do wiosny roku przyszłego. Tu więc rozstałem się z memi dotychczasowymi towarzyszami podróży, którzy wracali do Charbina, a sam, w towarzystwie profesora B., ruszyłem dalej w zamiarze dokonania podróży: Władywostok — Nagasaki—Dalni—Pekin—Mukden.

(C. d. n.)



Mali murzyni.

Uganda — mówi sir Harry Johnston w urzędowym sprawozdaniu do parlamentu — jest perłą Afryki równikowej. We wschodniej części protektoratu angielskiego ciągnie się przestrzeń 12,000 metrów kw., posiadająca żyzną glebę, zdrowy klimat, porośnięta cudnymi lasami i zaludniona osobliwymi mieszkańcami. Tam to znajduje się duży las Semliki, ciągnący się wzdłuż zachodniego brzegu Afryki od portugalskiej Gwinei do ujścia rzeki Kongo.

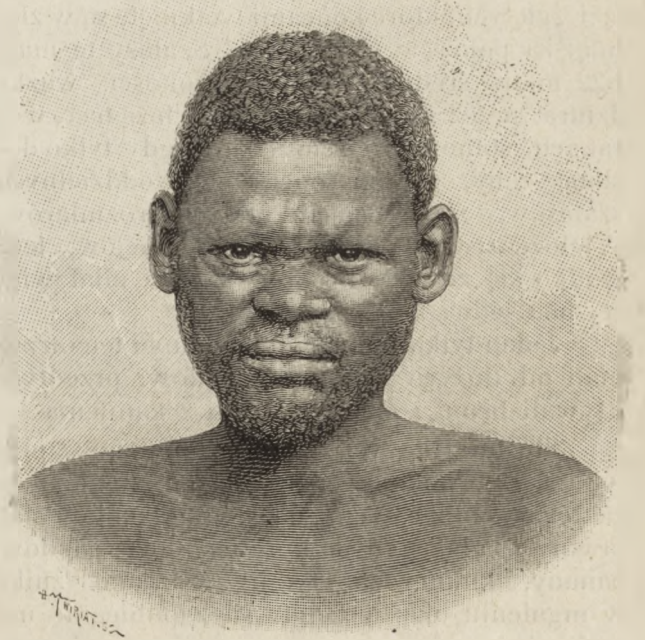
Dwie odmienne rasy spotykają się na granicach tego lasu: Ba-Nanda, o bardzo słabo rozwiniętej inteligencji i małym wyglądzie, używająca mowy *Lu-konzo*, bardzo starożytnej gałęzi narzecza Bantu.

Drugą z tych ras stanowią pigmeje. Znani byli egipcjanom od początku czasów historycznych; zapewne sprowadzani bywali przez handlarzy, którzy utrzymywali stałe stosunki z mieszkańcami i wśród nich się rozmnożyli. H. Johnston jest zdania, że żyli oni również na Sycylii, w Sardynji, aż do Pirenejów, gdzie

znajdowano ich skielety. Pozostawiamy na jego odpowiedzialności to podanie.

Pigmeje ci dzielą się na dwa odrębne typy: jeden z nich ma skórę czerwono-brunatną, drugi — zupełnie czarną, a włosy również bardzo ciemne; ci drudzy są może nawet nieco wyżsi.

Średni wzrost, którego jednak za normę nie należy brać, wynosi u mężczyzn 1.40 metra, a u kobiet 1.27 metra. Może liczba ta jest wygórowaną, ponieważ sir Johnston po-



Murzyn.

wiada, iż mierzył mężczyzn, mających po 1.27 metra i pewną kobietę, nie dochodzącą do 1.22

metra wysokości. Nos mają bardzo szeroki, kości policzkowe mocno wystające, szyję wgłębioną, tył, jak u hotentotów, bardzo rozwinięty. Włos mają obfity na całym ciele, zwłaszcza sute brody i bokobrody. Pigmeje nie hodują wcale bydła, i nie oddają się uprawie ziemi. Żywią się owadami leśnymi, miodem, który znajdują w obfitości, głównie zaś z myśliwstwa.



Młoda murzynka.

Każde mięso jest dla nich dobre. Z rozkoszą jedzą mięso małp, które zabijają strzałami, lub łowią w sidła, dowcipnie sporządzone.

Mieszkają w szałasach stożkowych z gałęzi zgiętych, które końcami wetknięte są w ziemię; za pokrycie służą liście. Szalasy te mają 1.22 metra średnicy i tyleż wysokości; wązka dziura, przez którą mieszkańcy włączają na czworakach, stanowi wejście. Dzieci, gdy tylko dostaną zęby, przenoszone są do oddzielnych szałasów, zadziwiająco małych rozmiarów. Wielożeństwo istnieje wśród pigmejów, lecz rzadko się zdarza, by który z nich miał więcej nad jedną żonę.

Jeden tylko metal był im znany i ten otrzymali od dużych negrów, sąsiadów; przedtem używali broni i narzędzi tylko z kamienia.

Stosunki dużych negrów z małymi są prawie zawsze pokojowe; bywają jednak niekiedy zakłócone łupieżstwem ze strony pigmejów. Jak lawiny spadają oni na uprawne pola sąsiadów; banany, kukurydza, tytuń, wszystko znika w mgnieniu oka; lecz, gdy się zapobiegnie napaadowi, łagodzając ich podarkami, stają się spo-

kojnemi sąsiadami, gotowemi do wszelkiego rodzaju usług. Wogóle charakter mają nieśmiały i przy najmniejszym alarmie uciekają w głąb swych lasów. Europejczycy nie mogą się do nich zbliżyć i nigdy by się im to nie udało bez pomocy ich sąsiadów. Pigmeje mają zamiłowanie do tańców i śpiewów; tańce ich są rubaszne, pantomimy jeszcze bardziej; wywołują one w widzach hałaśliwą radość.

Muzykanci siedzą w koło; instrumenty ich są to łodygi drzew, zamknięte z obu końców skórą. Poruszają się oni z nieprawdopodobną zawziętością, uderzając o ziemię rękoma, nogami, łokciami, wszystkimi częściami ciała.

Pigmejom nie brak pewnej inteligencji. Uczą się z łatwością, lecz, ich wymowa jest tak wadliwą, że przeszkadza ich zrozumieniu.

Młode kobiety przywiązują się chętnie do dużych murzynów; gdy sir Fred Lugard, pierwszy organizator Ugandy, przechodził przez las Semliki, żołnierze jego gwardji sudańskiej wywarli wielkie wrażenie na niewiasty pigmej-skie. Wiele z nich poszło za wojskiem i nie było nic zabawniejszego nad widok tych małych kobietek, 1.22 metra wysokości, drepcących za olbrzymami, mającymi po 1.85 metra

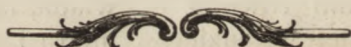
Strój nie krępuje ich wcale: w lasach swych chodzą zupełnie nago; lecz, gdy przypadkiem



Taniec małych murzynów.

zetkną się z europejczykami, śpieszą okryć się szmatą z liści lub kory, które z tym samym pośpiechem zrzucają, gdy tylko biali się oddalą.

I. N.



## Książki i Czasopisma.

Ziemie dawnej Polski i sąsiednich krajów słowiańskich, opisane pod względem fizyczno-geograficznym przez d-ra Antoniego Rehmana. *Część druga: Niżowa Polska.* (Lwów, 1904 r., str. 535 dużej ósemki oraz mapa „rzeźby i nawodnienia Ziemi Polskich.“)

Dziewięć lat oddziela wyjście tej części istic pomnikowego wydawnictwa od wydrukowania poprzedniej, poświęconej opisowi Karpat. Gdy się obejmie okiem ogrom dzieła, gdy, bodaj pobieżnie, rozejrzy w mnóstwie szczegółów, pełnych znaczenia dla krajoznawstwa, gdy się wreszcie przypomni, że autor, będąc profesorem uniwersytetu lwowskiego, mógł tej pracy poświęcić tylko swoje wywyższy; wówczas przerwa ta wyda się krótką, a podziw z czcią i wdzięcznością stanie się udziałem autora.

Z obszernych a fachowych feljetonów „Słowa polskiego”, poświęconych ocenie dzieła prof. Rehmana, dowiadujemy się jeszcze, że samo uporządkowanie materiału i napisanie dzieła zajęło ogółem 14 lat, gdy badanie kraju trwało znacznie dłużej: pierwszą wycieczkę odbył autor — przed 40-tu laty, ponawiając je każdej wakacji.

Zarówno jak w pierwszej, i w tej części dzieła autor nie trzyma się granic politycznych, lecz uwzględnia całości naturalne, więc, opisując niziny, położone na północ od Karpat, idzie do brzegów morza Bałtyckiego a równinami wschodnimi po Dniepr i po brzegi morza Czarnego. Powierzchnia Polski niżowej jest o tyle urozmaicona, iż pozwala na odróżnienie nizin właściwych, trzymających się wielkich rzek, od wyniosłości, zajmujących dział, położone pomiędzy temi nizinami.

Autor wymienia każdą nizinę, każde płaskowzgórze, podając położenie i rozmiary każdego z osobna, tudzież jego budowę (na powierzchni i pod powierzchnią ziemi), nawodnienie, roślinność, urodzajność gleby, wreszcie—co najciekawsze—wpływ i wartość tych stosunków dla istnienia i rozwoju mieszkańców.

Dzieło prof. Rehmana odbiegło daleko formą i treścią od suchych podręczników geograficznych, to też krytyka naukowa słusznie wydziela mu drugie miejsce po „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego”. Wielką usługę odda ogółowi jeden z uczniów autora, zamierzający skrócić olbrzymie dzieło do zawartości 10 arkuszy, aby uprzyściplnić nabycie pięknej pracy osobom mniej zamożnym.

Aby zachęcić czytelników do zapoznania się z cennym dziełem, pozwolimy sobie, w jednym z najbliższych numerów, przytoczyć drobny a charakterystyczny ustęp.

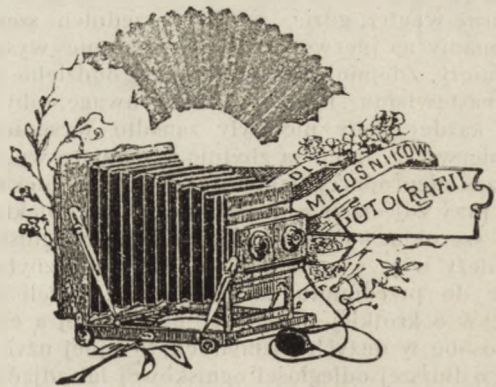
**Chimera.** Tom 7-my (kwiecień—czerwiec 1904). Wyrównawszy zaległości, piękne to wydawnictwo, pod sterem poety Miriama, zapoznaje publiczność kulturalną z prądami, nurtującymi w duszach niepowszednich myślicieli, pieśniarzy, artystów słowa i barwy. Niepoślednią zasługą „Chimery“ jest postawienie przed oczy społeczeństwa wielkiego, a nieoceniającego poprzednio talentu—Cypryana Norwida. W wszycie omawianym znajdujemy właśnie dokończenie wspaniałego studjum tego poety nad pieśnią staropolską „Boga-Rodzica“, oraz zapowiedź, że przyszły tom (podwójny) obejmie całą serję niedrukowanych dotychczas utworów Norwida.

Z bogatej, przepyszenie wydanej, wiązanki utworów obecnego zeszytu wybijają się na plan pierwszy: 3-aktowa fantazja sceniczna Williama Yeatsa, w mistrzowskim przekładzie J. Kasprowicza: „Księżniczka Kasia“ i parodia tragedji scenicznej „Lwy“ pióra do-wcipnego bajkopisarza, J. Lemańskiego.

Sześć odczytów dla klas przemysłowych napisał Stanisław Bendlewicz (Pleszew). Jasno, treściwie, przekonywająco, acz niekiedy posługując się wyrażeniami zbyt „lokalnymi“, autor omawia sprawy, nietylko specjalnie interesujące pracowników przemysłowych, lecz i ogólne. Są tu więc pogadanki (nie „odczyty“: bo za krótkie, kilkunastominutowe—przy czytaniu głośnym): o nadużywanym kredyту w handlu i przemyśle; o wychowaniu w kierunku przemysłowym; jakim wymaganiom odpowiadać powinien przemysłowiec, zaczynający „na swoje“; o wadach naszych przemysłowców; stosunek pracodawcy do pracobio-rey; Kaplica króla Jana (na Kahlenbergu—z rysunkami); „bądźmy sobą!“, o cechach w ogólności.

**Wina i miody z owoców.** *Praktyczny sposób wyrabiania win owocowych i miodów.* Napisał Jan Biegański. Wydawcą tej, przystępnie napisanej i taniej, broszurki jest firma „Ogrodnik Polski“, na której czele stoi Edmund Jankowski; starczy to za zalecanie wydawnictwa, bo taka firma nie wyda dziełka, nie przekonawszy się o jego wartości praktycznej i pożytku.

K. II.



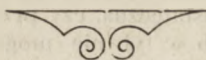
### Jak zostać fotografem?

VII.

Przy nastawianiu aparatu trzeba dobrze zbadać, czy ostrość jest dostateczną, czy przez poruszenie matówki w przód lub w tył nie moglibyśmy otrzymać wyraźniejszego obrazu. Niektórzy, posiadający słaby wzrok, używają przy nastawianiu aparatu tak zwanych lup, które ułatwiają zbadanie ostrości. O ile można jednak, należy obywać się bez lupy, gdyż ta, ułatwiając nastawienie, przyzwyczajają wzrok do niej do tego stopnia, iż później trudno się bez niej obyć. Jeżeli zdejmujemy, posiadając w aparacie obiektyw doskonały, np. który a anastygmatów, dostatecznie jest sprawdzić ostrość w pośrodku matówki, gdyż wówczas obraz będzie ostry na całej matówce. Jeżeli mamy gorszy obiektyw, to należy sprawdzić, czy obraz i po brzegach jest ostry, a jeżeli nie, to ostrość tę uzupełnić

przez użycie djafragmy. Przy nastawianiu portretów osób (biustów) należy nastawiać ostrość, patrząc na oczy zdejmowanej osoby, ażeby zarysowały się wyraźnie. Jeżeli zdejmujemy grupę z wielu osób, to należy ustawić je w kilka rzędów i tak zbliżyć osoby do siebie, ażeby wielkość głów osób pierwszego i ostatniego szeregu nie różniła się nieproporcjonalnie. Przy obiektywach, dających ostrość po brzegach mniejszą niż w środku, najlepiej jest grupy osób ustawiać nie w prostym szeregu, lecz półkolem. Jeżeli odległość pomiędzy osobami grupy w pierwszym i ostatnim szeregu jest tak znaczna, że skutek niej trudno nam jest nastawić na ostrość bliższe i dalsze plany grupy, wówczas należy posilkować się górnym i dolnym ruchem matówki, o ile go aparat posiada. Należy mianowicie nastawić na ostrość tylne rzędy grupy na dolnej części matówki a następnie odchyłać t. j. zbliżać ku sobie górną część matówki, obracając ją na osi, do tej pory dopóki przednie plany grupy, odbijające się w górnej części matówki, nie nabiorą ostrości. W tym przypadku więc matówka, którą nastawiamy na ostrość, nie będzie stała pionowo lecz ukośnie, a im plany pierwszy i ostatni grupy będą bardziej od siebie odległymi, tym położenie to ukośne większym będzie t. j. pod kątem bardziej rozwartym. Jeżeli przy zdjęciu grupa nie będzie miała licznych planów, lecz jeden jej bok musi być znacznie wysuniętym, to przy nastawianiu, aby wyrównać różnice pomiędzy jednym bokiem grupy więcej zbliżonym do aparatu a drugim odleglejszym, musimy się posilkować bocznym ruchem matówki, czyli jeden bok jej przysuwać i oddalać do tej pory, aż wyrównamy ostrość. Przypadek ten jednak rzadziej się zdarza i b. wiele aparatów składanych nie posiada wcale bocznych ruchów matówki. Podobne użycie bocznych i górnych ruchów matówki ma zastosowanie nie tylko przy grupach lecz i zdjęciach bliskich widoków oraz wnętrzu, gdzie, zamiast przednich szeregów osób, mamy na pierwszym planie znacznie wysunięte przedmioty. Zdejmując grupki, jako też oddzielne osoby, przy nastawianiu, należy zwracać uwagę, aby ręce i nogi każdej osoby nie były zanadto wysunięte, na plan pierwszy. Jeżeli są zbyt wysunięte wychodzą wówczas nieproporcjonalnie duże. Szczególniej zdarza się to przy zdjęciach z bliska i przy użyciu obiektywów o dość szerokim kącie a krótkiej odległości ogniskowej. Nie należy więc wogóle przy zdejmowaniu zbyt blisko zbliżać do przedmiotu zdejmowanego. Jeżeli mamy obiektyw o krótkiej odległości ogniskowej a chcemy zdjąć osobę w dużych rozmiarach, to lepiej użyć obiektywu o dłuższej odległości ogniskowej lub zdjąć osobę w mniejszych rozmiarach niż przez zbyt zbliżenie się do niej dostać obraz spaczony pod względem perspektywy.

Wł. Karoli.



## ROZMAITOSCI.

**Zmiana płci u ptaków.** „Tribuna” rzymska podaje wiadomość tak zdumiewającą, że łatwo możnaby ją przyjąć za kaczkę dziennikarską, gdyby nie to, że związanym jest z nią nazwisko słynnego profesora Grassi’ego, który oddał laboratorium swoje do rozporządzenia wynalazcy.

Wynalazek ów polega na zmienianiu dowolnym płci u ptaków, specjalnie zaś u kur, nad którymi to najwięcej obserwacji poczynił Francesco Rocchi, młody samouk, który skończył zaledwie szkołę elementarną i niedawno właśnie przybył do Rzymu do prof. Grassi’ego, z zamiarem zademonstrowania przed nim swych doświadczeń. Znalazł on już protektorów, pomagających mu materialnie, a przez to dających możliwość doskonalenia badań.

Istota rzeczy streszcza się tak:

Rocchi utrzymuje, że z biologicznego punktu widzenia płci istnieje tylko jedna—męska, jako prototyp, żeńska zaś jako pochodnia, powstała z pierwszej.

U kręgowców płęć nie przedstawia zjawiska idealnie stałego, i nawet już w razie zaznaczenia się w pewnym kierunku, przetworzyć ją można w inną. W przypadku tym płęć-prototyp, przechodząc przez szereg różnych form hermafrodytycznych, zmieniając się ustawicznie, przejść może, mniej lub więcej całkowicie, od prototypu, to jest płci męskiej, do płci żeńskiej, pochodnej.

Przetworzenie zaś płci żeńskiej pochodnej w męską, pierwotną, jest niemożliwe.

Rocchi utrzymuje, że osiągnął on znakomite wyniki, powiodło mu się bowiem przetworzenie płci u 214 indycząt na ogólną liczbę 230; obecnej zaś wiosny z 75 kurczął jedno tylko nie poddało się transformacji.

Wynalazek swój Rocchi oddał w zapieczętowanej kopercie prof. Grassi’emu, który z kolei przesłał ją znowu z pieczęcią swoją. Akademii „dei Lincei”, pozostawiając Rocchiemu sto kurczął do badań i transformacji, poznałszy je wszystkie poprzednio.

Rocchi utrzymuje wreszcie, że przetwarzanie samców w samice możliwym jest u wszystkich kręgowców, wybrał on jednak kury, głównie ze względów praktycznych, zaznaczając, nie bez słuszności, że jeśli hodowca będzie miał pewność, iż zakład dawać mu będzie 96 kur na 100 kurczął, to praca okaże się znacznie produkcyjniejszą.

Kury, wyhodowane za pomocą transformacji, niosą się tak samo jak zwykle i w tejże ilości; jajka tylko podobno są nieco mniejsze.



**Międzynarodowy kongres zoologów.** W Bernie rozpoczął posiedzenia międzynarodowy kongres zoologów. Udział w pracach kongresu biorą, między innymi: książę Monaco, księżna Teresa bawarska i Roland ks. Bonaparte. Na kongres przybyło ze wszystkich części świata 309 uczonych.



## Kronika Esperantyczna.



**Mapy esperantyczne.** W liście do p. Ludwika de Beaufront, redaktora czasopisma „d’Espérantiste”, słynny geograf i prof. Uniw. brukselkiego, *Elizeusz Reclus*, zawiadania czytelników tego pisma, że postanowił wy

konać dwie specjalne mapy esperantyczne: jedną całej ziemi, o skali 100,000,000; drugą — samej tylko Europy, o skali 20,000,000. Zadaniem tych map będzie możliwe dokładne wykazanie, sposobem poglądowym, stopnia rozwoju w różnych krajach języka Esperanto, t. j. wszystkich miejscowości, gdzie w poważniejszej już liczbie znajdują się esperantysty, wszystkich siedzib ich towarzystw i klubów, miejsc wydawania czasopism esperantycznych; miast i miasteczek, w których urządzono już stałe „kursa” języka Esperanto itd. itd. Do map dodaną będzie broszura, jeszcze dokładniej objaśniająca wszystkie te szczegóły. Same zaś mapy, ze względu na propagacyjny, nadzwyczaj będą tanie, bo cena ich wynosić ma zaledwie 10 lub 15 centymów. Redakcja czasopisma „L'Espérantiste”, ogłaszając o zamierzonym wydawnictwie prof. Reclus, zachęca od siebie wszystkie towarzystwa i kluby esperantyczne oraz wszystkich wogóle zwolenników języka Esperanto, by jak najtłumniej pośpieszyli z zamówieniami tych map — po kilka lub więcej egzemplarzy — wprost do prof. Elizeusa Reclus (Bruxelles, Belgique, Rue Ernest-Allard, 35) i tym samym złożyli najlepszy dowód prawdziwego zainteresowania się jego przedsięwzięciem.

**Maszyny do pisania.** Zważywszy, że alfabet języka Esperanto posiada pięć liter specjalnych (t. j. „c”, „g”, „h”, „j” i „s”, opatrzonych u góry daszkami czyli t. z. „*accent circumflexes*”) dla oddania dźwięków: „cz”, „dź”, „ch”, „ż” i „sz” — zważywszy to, kilka najpotężniejszych firm, fabrykujących maszyny do pisania, uznało za konieczne przystosować je niezwłocznie do użytku esperantystów, t. j. wprowadzić do używanych przez się alfabetów alfabet esperantyczny. Czytamy też w ostatnich zeszytach miesięcznika angielskiego „The Esperantist” (41, Outer Temple, London W. C.) ogłoszenia w języku Esperanto, firm: „The Remington Typewriter Company (100, Gracechurch St., London, E. C.) oraz „The Yost Typewriter Company” (50, Holborn Viaduct, London, E. C.), z których dowiadujemy się, że firma „Remington” zamierza właśnie zastosować wkrótce do maszyn swego systemu alfabet esperantyczny, a firma „Yost” zastosowała go już od kilku miesięcy i na dowód tego drukuje nawet swe ogłoszenia esperantyczne z cionkami własnego typu.

Co się zaś tyczy najpopularniejszej dziś maszyny do pisania, systemu firmy: „The Hammond Typewriter Company”, ta już od roku przeszło wprowadziła do używanych przez się alfabetów alfabet esperantyczny, o czym w swym czasie zawiadomił świat handlowy, odpowiednim okólnikiem w języku Esperanto, jeneralny reprezentant firmy tej we Francji i kolonjach francuskich — p. Pierro Castelli, Paris. Rue Peletier, 9.

**Drobne „artykuły handlowe” esperantyczne.** Na pierwszym śród nich miejscu postawić należy przede wszystkim bardzo znaczną już liczbę specjalnych *kart i kopert esperantycznych*, wydawanych głównie w celu propagandy języka, którym też w przyszłości muszeni będziemy poświęcić dłuższą nieco wzmiankę. Tu zaś wymienimy tylko kilka innych „artykułów handlowych”, rozpowszechnianych za granicą pod marką: „Esperanto”, jak np. pewien gatunek *wina szampańskiego* w Dijon; jak reklamowane w różnych dziennikach francuskich przez p. Emila Cherblane (Tarare-Rhône, France — Rue de la République, 69): „*La sapo esperantiste*”, czyli „Mydło esperantyczne”; jak niemniej reklamowane, w dziennikach angielskich, przez p. Ges. C. Law (394, Kings Road, Chelsea, London, S. W.) *Laperfumo „Espero”*; jak fabrykowane w Saint-Claude (Jura, France) „według nowego systemu”, różnorodne *fajki i fajki*

czki z napisem: „Esperanto”; jak reklamowane nawet i u nas, bo w Oświęcimiu galicyjskim, przez kupca tamtejszego, p. J. J. Marmulewicza: „*Międzynarodowe Ziółka Esperanto*”; jak bardzo popularne w kołach esperantycznych: „*La plumoj esperantaj*”, t. j. „*pióra esperantyczne*”, fabrykowane przez wielką firmę francuską: „Baignol et Farjont” w Boulogne-sur-Mer, Rue Wissock, 26, oraz w Paryżu, Place de la Bourse, 10 — *itd. itd.*

Wracając do tylko co wymienionych „piór esperantycznych”, dodać jeszcze musimy, że na każdym z nich znajdują się zawsze symbole esperantystów: gwiazdka i kotwica, z napisem: „Plumo Esperanto. Baignol et Farjon, Boulogne s/M”, oraz, że sprzedają się one zwykle w eleganckich pudełeczkach, zaopatrzonych na zewnętrznej stronie denka kilku aforyzmami w języku i o języku Esperanto, które, jako łatwo zrozumiałe dla wielu, przytaczamy w oryginale:

„Lernu Esperanto!

*Esperanto estas la sola praktika solvo de lingvo internacia.*

*Esperanto estas komprenata post kelkaj horoj.*

*Esperanto estas simpla, fleksebla, belsona, nekomparebla.*

*Esperanto estas necesa por komercistoj, scienculoj, vojadantoj.*

Lernu de Esperanto!“

(*Uczcie się więc Esperanta!*)

I my ze swej strony kończymy tych słów kilka o esperantycznych „artykułach handlowych” — tą samą, jaknajgorętszą, zachętą...

A. B. B.



## Odpowiedzi Redakcji.

*W-ny Edward Wrześniewski, inż. w Krakowie.* Reklamacja szan. pana nie ma podstawy: „Biblioteka podróży” wychodzi w formacie arkuszowym, zawierając zazwyczaj dwa, nierozcięte, ciągi 2-ch powieści; jeżeli więc szan. pan posiada osemkę jednej powieści, to razem musi być osemka drugiej. Nigdy nie zaczynamy nowej powieści przed ukończeniem dawnej; „Tajemnicę burzy morskiej” rozpoczęliśmy po ukończeniu „Azji w płomieniach”. Nie mając szan. pana na liście swych prenumeratorów, reklamacji co do nieotrzymanych dodatków uwzględnić nie możemy; uczynimy to jednak chętnie na żądanie księgarni Gebethnera w Krakowie.

*W-ny M. Ulatowski w Wąjłowniu.* Dotychczas wyszło 15 zeszytów „Życia zwierząt”, jeżeli szan. pan tyle otrzymał, to administracja jest w porządku.



**WSZYSTKIM** odbiorcom naszego pisma, zamieszkałym poza Warszawą, którzy nie opłacili dotychczas prenumeraty i nie uregulują należności za kwartał bieżący w ciągu tygodnia, wstrzymamy wysyłanie tygodnika i Biblioteki, poczynając od № 36-go.

Administracja „Naokoło Świata”.

# HERMAN i GROSSMAN

Warszawa, MAZOWIECKA 16.

ST. PETERSBURG — MOSKWA.

## Fortepiany i Pianina

słynnych fabryk

C. Bechstein, Steinway & Sons, Rönisch, Tresselt.

**ANGELUS ORKESTRAL**

pneumatycznie samogrający instrument, zastosowany do fortepianu lub bez takowego, daje następujące kombinacje:

1) solo fortepian, 2) solo organki, 3) Powyższe instrumenty razem.

Cenniki bezpłatnie. Sprzedaż na rozpłaty miesięczne.

Wynajem wyborowych instrumentów. Telef. 555.



**DLA TEGO NAJTANIEJ!** dywany, portjery, firanki, serwety, kapy, kołdry watowe i pluszowe, chodniki, plusze, gobeliny, burety itp. **ŻE NA I-em PIĘTRZE** w składzie **Henryka Radeckiego**. Marszałkowska 112, 1-e piętro, przy ulicy Chmielnej.

Treść № 35. Śladem sonetów krymskich, przez Wł. Natęcza (z rysunkami).—Indje, przez Piotra Loti'ego, tłumaczył Józef Jankowski.—Z podróży do Afryki, przez Leopolda Janikowskiego.—Na Dalekim Wschodzie, przez Józefa, Gieysztorą.—Panorama ludów, Mali murzyni, przez I. N. (z rysunkami).—Książki i Czasopisma.—Dla miłośników fotografii.—Rozmaitości—Kronika esperantyczna, przez A. B. B.—Odpowiedzi Redakcji.—Ogłoszenia.

Treść „Biblioteki ilustrowanej podróży i powieści:” Rozbójnik Marko, przez L. Bousenarda, tłumaczyła M. Naimska (str. 125-132).—Tajemnica burzy morskiej, przez Sylwana Cobba (str. 65-72).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata”: w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Za granicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblioteką ilustrowaną podróży i powieści”: w Warszawie rocznie r. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50.— Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9.—Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop. 20—Cena numeru kop. 10.

Agientura w Łodzi:  
Księgarnia L. Fiszera,  
Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:  
**Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.**

Agientura w Częstochowie:  
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki,  
Aleja II № 43.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.